



WIELKA PRZYGODA

PONAD 10.000 kilometrów od Moskwy, na tereny łowieckie leżące w okolicach Chabarowska, polecili czterej polscy myśliwi odrzutowcem Tu-104. Roman Bratny, Dominik Horodnyński, Andrzej Strumiłło i Bogdan Kutylowski znaleźli się w tej części tajgi ussuryjskiej, która jest obecnie największym na Dalekim Wschodzie rezerwatem leśnym i zwierzęcym, o 150 km od granicy radziecko-chińskiej w rejonie Oblucze, we wschodniej części obwodu Birobidżan.

Czy tych kilka zdjęć z pobytu naszych myśliwych w tajdze odda przeżycia tych, którzy wyszli naprzeciw Wielkiej Przygodzie w Kraju Chabarowskim, czy pozwoli choć częściowo odzwierciedlić urok dwumiesięcznego bytowania w dzikich warunkach — pozostawiamy ocenie Czytelników.

W TAJDZE



W drugim etapie wyprawy wypadło często korzystać z „glissiera” przydzielonego wyprawie przez miejscowe władze. To zdjęcie pochodzi z przeprawy przez rzekę Chor.

Fot: CAF, Andrzej Strumiłło

Niejedno trofeum myśliwskie uwieńczyło trudny członków wyprawy. Jedno z cenniejszych — to łapa niedźwiedzia.

Upolowano rów nież wiele innej „drobniej-szej” zwierzyny. Obok — potężny łos, jeden z ustrzelonych okazów.



Bagaż wyprawy, ważący kilkadziesiąt kilogramów, dźwigały małe, silne koniki o długiej sierści, przywykłe do wędrowek przez tajgę. Oto jak wyglądała przeprawa przez jeden z dopływów rzeki Biry. W głębi — gęsta zarośla, porośnięte trawą wyższą niejednokrotnie od człowieka.

Nowy Świat

TYGODNIOWY DODATEK „GŁOSU” * Poznań, 7 XII 1958 * ROK VIII Nr 50

MIEDZIANE NADZIEJE i szansa Głogowa

Zbyszek — gdy opuszczałem redakcję — swoim zwyczajem klepnął mnie po ramieniu, wybałał dokładnie kiedy wracam, na koniec zaś dodał konfidencjonalnie:

— Może byś przywiózł kawalek tej rudy? Damy Ani, zanieś do szkoły, właśnie urządzają gabinet przyrodniczy. Kierownik będzie wniebowzięty!

Teraz jadę do Radwanic. Obaj ze Skrzypczakiem, tkwiącym nieruchomo za kierownicą, wypatrujemy więc wiertniczych.

— To jest zestaw wiertniczy — objaśnił mnie w kwadrans później z precyzją technik Piękoś — „typu GPO 800 (niech pan zapisze dokładnie).

Niech będzie. Dla mnie potężny trójnog, rozkraczony tuż za którymś z radwanickich gospodarstw, jest po prostu wieżą. Szopę wypełniają podmuchy wiatru, śwąd z prymitywnego piecyka i oguszające postękiwanie silników. Czterej mężczyźni w watówkach, skupieni przy rozżarzonej fajerce, początkowo przysłuchują się mojej indagacji nieufnie, potem starszy z nich włącza się do rozmowy:

— Pan z gazety? Napisz pan, że tu źle z wyżywieniem. Raz, jak przyszliśmy do gospody, powiedzieli, że obiadu dla nas nie ma, bo jest narada i zarezerwowane. Czy to nie granda? My — stali klienci. Z pomieszkaniem też kiepsko. Staraj się, człowieku, na własną rękę, dopóki budowa się nie rozkręci...

Majster mówi prawdę. Na razie warunki pracy są ciężkie i wymagają od ludzi żelaznego zdrowia i sporej dozy poświęcenia.

Wiercenia

— Wiercimy systemem obrotowym — technik Piękoś dużą wagę przypisuje precyzji fachowych sformułowań — małośrednicowym. Z każdego odwierconego metra pobierane są próbki. Mamy już głębokość 400. Koło Lubinia osiągnęli 803. Na razie miedzi u nas nie było, za to 4 razy przesłaliśmy przez węgiel brunatny. Zejdzie my niżej — będzie miedź. Jest w Sieroszowicach, niedaleko stąd, powinna być i tu.

Może tu akurat przypada uskok? Siatka otworów wierconych dzień i noc, niedziela nie niedziela — ma dać odpowiedź na te i inne pytania. Wszystkie dane skrupulatnie odnotują spece z Instytutu Geologicznego oraz Dolnośląskiego i Krakowskiego Przedsiębiorstwa Geologicznego Surowców Hutniczych. Inwestor, kopalnia rudy miedzi w Lubichowie (pow. Bolesławiec) chce za wszelką cenę wejść w roku

przyszłym w posiadanie pełnej dokumentacji złoża.

Silniki ryczą jak opętane, podłoga szopy gdzie pracuje agregat wiertniczy, jest oślizła od gliniastej mazi. Z głębi odwiercanego otworu wylewa się bezustannie masa o barwie i konsystencji mlecznej czekoladowej masy. Piękoś, rodem z Rzeszowskiego, absolwent Technikum Wiertniczego w odległym Krośnie, stara się przekrzyczeć jazgot maszyn:

— Wciąż jeszcze idziemy przez piaskowce! — a potem usiłuje mnie zaznajomić z funkcjonowaniem całości urządzenia. Nie bardzo rozumiem, bo dochodzi mnie połowa tego, co mówi. Wyczuwam raczej, że i tego człowieka miedź zaczyna zagarniać dla siebie.

Szczegółów dowiaduję się w Lubiniu, mieście powiatowej

Piotr Życki zwiedził tereny koło Głogowa, na których odkryto niedawno złoża miedzi. Oto jego relacja z przyszłego nowego zagłębia kopalnianego w Polsce.

mniejszej od Głogowa ale chyba niemniej zniszczonej, w Bazie (uff!) Remontowo-Montażowej Dolnośląskiego Przedsiębiorstwa Geologicznego Surowców Hutniczych. Warsztaty wtargnęły niedawno do sali jakiejś knajpy, personel ulokował się w przyległych izbach.

Pokłady

Tu właśnie wymieniają uwagi, wyklócają i informują się nawzajem — kierownicy techniczni prac wiertniczych, geolodzy, majstrowie, hydrodzy, młodsi, świeżo upieczeni i starzy wyjadacze. W takiej właśnie izbie poznałem ich dwu: techników Makowskiego i Lubachę, kiedyś kolegów na ławie krakowskiej szkoły, teraz towarzyszy pracy.

— Niech pan się przyjrzy tej mapie geologicznej — powiedział na wstępie, rozkładając na stole pokolorowaną plachtę. — Odkrycie w tym, o tu, paśmie, rudy miedzi, jest całkowicie dziełem polskich geologów. W literaturze fachowej były tylko przesłanki, że tu spodziewane są utwory cewszynu. A, jak wiadomo,

cechszyn może zawierać rudy miedzi albo i nie. Ale Instytut Geologii (prof. Zwierzycki, inż. Wyrzykowski) miedź wymacał. Współpracowali geofizycy z Przedsiębiorstwa Poszukiwań. Pierwsze otwory z dodatnim wynikiem odwiercono w ubiegłym roku, właśnie u nas w Lubiniu i w Sieroszowicach, powiat Głogów.

Patrzę na mapę, słucham uwag zapaleńców i wybiegam myślami w przyszłość. Co będzie za 50 lat? Polska, okazuje się, jest potencjalnie bogata nie tylko w sól i węgiel, ale ma siarkę, ma miedź, ma ropę naftową (Mielec). Wszystko to jednak trzeba wydrzeć ziemi, uszlachetnić i przetworzyć, aby służyło ludzdom. A to wymaga czasu i nakładów. Tu, w Lubiniu i w Głogowie, pobiegnie wtedy życie zupełnie nowym torem.

Bo jeżeli złoża miedzionośne właśnie odkryte zajmują obszar przypuszczalnie ok. 200 km², oznacza to, iż są one bogatsze z dotychczas w Europie znanych. Tak! Złoże mannsfeldzkie w NRD, do tej pory uważane za największe w naszej części świata, ma tylko ok. 144 km², przy czym grubość złoża waha się tam w granicach 22–30 cm. A u nas ruda miedzi występuje, jak ustalono dotychczas, pokładem kilkakrotnie grubszym i dać powinna, średnio licząc na 1 m² powierzchni, 10 razy tyle czystszej miedzi co mannsfeldzka!

— Otwór w Sieroszowicach — podejmuje Lubacha — dał średnio rudę o zawartości miedzi 1,6%, w innych otworach zdarzały się próbki dwu a nawet dwięcioprocentowe. Bezspornie jednak nie obędzie się bez trudności.

Teraz mówi Makowski:

— Przede wszystkim głębokość występowania rudy: 600–800 m. To wymaga inwestycji. Trzeba dokładnie zbadać warunki tektoniczne i hydrogeologiczne no i samo złożo. Obliczyć zasoby. Przygotować wreszcie teren dla kopalni.

Miedź!

W załprowizowanym magazynie o wyglądzie solidnej stajni, sterty długich skrzyniek z próbkami geologicznymi. Makowski odrzuca wieka paru pudeł, wciska mi do ręki kawałek czegoś ciężkiego. Objaśnia:

— To siarczek miedzi. Niech pan na niego spojrzysz z boku, pod światło.

Więc tak wygląda owa wyśleskiona ruda. Nie umiem ukryć rozczarowania. Obracam w palcach ułamek szaro-czarnej skały, podobny mocno do „kamienia węgielnego”, jakim kopalnie nadal częstują nasze gospodarstwa domowe. Nic nie zdradza obecności w tym kawałku glazu — złoto-rudego metalu. Ale... rzeczywiście, teraz dojrzałem słabe błyski mikroskopijnych drobinek czegoś metalicznego. To jest miedź. Aby ją wydobyć, trzeba skomplikowanego procesu technologicznego.

Na nie moje prośby; kawałek rudy wraca do skrzynki. Wszystkie podlegają dokładnej ewidencji...

— Czy pan wraca przez Polkowice? Jeżeli tak, to zabrałbym się z panem — mówi Lubacha.

Polkowice to małe miasteczko, pośrodku przyszłego okręgu kopalnictwa miedzi. Lubacha przy był w te strony przed rokiem i... znalazł sobie żonę. Zaczyna się urządzać, myśli o mieszkaniu, otwiera się przed nim nowe życie. Przed nim i przed mieszkańcami Polkowic, Lubinia, Głogowa, całej okolicy. Wszystko powinno pójść dobrze. Oby tylko nie rozgorzały jakieś „podwórkowe” boje, bo miedź leży na granicy dwu powiatów i dwu województw; oby

(Dokończenie na str. 3)

IZOTOPY wędrują na pola

zakrojone na szeroką skalę długofalowe badania nad zastosowaniem pierwiastków promieniotwórczych w różnych gałęziach nauki i gospodarki wkroczyły również w dziedzinę rolnictwa.

Już od dwóch lat prowadzona pod kierunkiem prof. dr. M. Górskiego rolnicza pracownia izotopowa przy Zakładzie Chemii Rolniczej SGGW w Warszawie zajmuje się stosowaniem metod izotopowej w badaniach rolniczych, badaniem roli pierwiastków radioaktywnych w świecie roślinnym, wpływem tych pierwiastków na rozwój roślin, ich wzrost, plony itp.

Na czym polega w badaniach rolniczych metoda izotopowa, zwana inaczej metodą znakowanych atomów?

Otóż umożliwia ona śledzenie procesów zachodzących w organizmie roślinnym bez naruszenia jego normalnych czynności życiowych. Obecnie, aby stwierdzić w roślinie np. rozmieszczenie pokarmu — fosforu, wapnia, węgla, czy innych pierwiastków — dodaje się do nawozów sztucznych, zasilających badaną roślinę, pewnych ilości izotopów radioaktywnych (które jak wiadomo oddziałują na kliszę fotograficzną) i otrzymuje w ten sposób dokładny wizualny obraz rozmieszczenia tych pierwiastków.

Tak więc bezspopielania rośliny i żmudnego dokonywania analizy chemicznej, od razu na zdjęciu zwanym autoradiogramem można zanotować wędrowkę tych pierwiastków w roślinie. Metoda izotopowa, której nie dorównuje pod tym względem żadna inna metoda chemiczna, biologiczna, czy fizyczna, umożliwia zatem dokładne poznawanie praw rządzących pobieraniem i rozmieszczaniem się pierwiastków od żywych w roślinach.

Praktycznie metoda ta pozwoli na określenie, który z wielu nawozów, np. fosforowych czy wapniowych, jest najwłaściwszy dla danej rośliny, w zależności od jej warunków glebowych. Przy pomocy izotopów można też będzie rozstrzygać w praktyce zagadnienia dotyczące sposobu wysiewu i stopnia wykorzystania nawozu mineralnego przez daną roślinę. Oczywiście, badania nie ograniczają się jedynie do prac w zakresie metodologii. W laboratorium, w tzw. hali wegetacyjnej i w warunkach naturalnych (bezpośrednio na polu) prowadzi się szereg doświadczeń, których rezultatem ma być ustalenie w jakim stopniu ciała promieniotwórcze wpływają ujemnie bądź dodatnio na rozwój rośliny, jej plony itp.

Jeśli chodzi o wpływ pierwiastków promieniotwórczych na wysokość plonu, niestety, nie uzyskano jeszcze ostatecznej odpowiedzi, czy wpływ ten jest dodatni czy ujemny i czy tylko dodatni i tylko ujemny.

Promieniotwórcze izotopy dawno pod kukurydzę, buraki cukrowe, peluszkę i pszenicę. Otrzymało dotychczas bardzo różne wyniki. W rezultacie niektórych doświadczeń uzyskano pewną — w przypadku kukurydzy — nawet dość znaczną, bo sięgającą 40% — zwykłą plonów. Problem nie jest tu jednakże wyczerpany, zachodzi bowiem pytanie, czy pasza zawierająca substancje radioaktywne nie działa szkodliwie na spożywające ją zwierzęta i czy mięso tych zwierząt nie będzie na przykład zagrażało zdrowiu ludzi. Tymi badaniami ma się zająć uruchomiona obecnie w Grodźcu specjalna pracownia, która obok laskowickiej pracowni IUNG-u (Instytutu Uprawy Nawożenia i Gleboznawstwa), umożliwi szersze badania w zakresie działania izotopów promieniotwórczych.

Jakie są dotychczasowe wyniki dwuletnich badań warszawskiego ośrodka naukowego?

Prof. Górski, do którego zwróciliśmy się z tym pytaniem, zastrzegł na wstępie, że nie będzie relacjonował jakichś ostatecznych wyników, gdyż zanim prowadzone prace je przyniosą, trzeba jeszcze wielu lat żmudnych dociekań. Już dziś jednakże można mówić m. in. o opanowaniu metody znakowania nawozów przy pomocy promieniotwórczych izotopów fosforu i wapnia. Prace badawcze w tej dziedzinie połączone są z badaniami radioaktywności gleby, przy czym dokonano już szeregu oznaczeń promieniotwórczości gleby w różnych jej rodzajach. Przystąpiono też do pracy nad ustaleniem, w jaki sposób przyswajają sobie rośliny fosfor poprzez liście.

Badania dokonywane przy pomocy radioaktywnego izotopu fosforu umożliwiają poznanie sposobu przemieszczania się składników odżywczych z liści do innych części rośliny.

Przy pomocy radioaktywnego izotopu węgla przystąpiono do badań procesów zachodzących przy powstawaniu próchnicy. Z badaniami tymi łączy się spore nadzieje na wyjaśnienie wielu zjawisk zachodzących w glebie, a m. in. tzw. odnawiania się próchnicy, powstawania związków organicznych itp.

Prof. Górski uważa, iż metoda izotopowa będzie miała duże praktyczne znaczenie dla naszego rolnictwa i stanie się bardzo pomocna przede wszystkim w przyszłych pracach stacji chemiczno-rolniczych, które z biegiem czasu będą wyposażone w specjalne laboratoria do badań tego typu.

M. WÓJ.

z Grusem i Hernesem pod rękę

MIAŁ KRAKÓW swą cyganerię, miała ją Warszawa, miał też Poznań, tylko — nie umiał jej pokazać. Rad tedy jestem, że mogę przypomnieć tych ludzi, których było tu sporo.

Wracając do naszej pary, zaczęć dziś od Grusa. Był zawziętym wędkarzem, prawie takim, jak mój kolega po fachu, Genio Kitzmann. Grus jeździł co roku na jeziora Wileńszczyzny. Łowił, pykał fajkę i rysował. Któregoś dnia przeczytaliśmy w gazetach hiobową wiadomość: „w Warszawie przepadł bez wieści genialny aktor, Stefan Jaracz. Widziano go ostatni raz w towarzystwie znakomitego rysownika — karykaturzysty, Kazimierza Grusa”. Hernes chodził strapiiony jak wielkie nie-szczęście. Mówił mi: „Chłopie, Jaracz przy Grusie nie zginie”. Istotnie — znaleźli się w obozie cygańskim w miejscowości Zimna Woda pod Lwowem. Co prawda bardzo byli zmęczeni, ale zdrowi, cali i radosni.

Kazio sprawiał raz po raz figle, które nerwów kosztowały nie mało. W czasie bardzo srogiej zimy w 1929 roku znów „wsiadł”. Wrócił po czterech dniach i opowiedział o swych przygodach, o których pisał też w „Przekroju” — Jerzy Zaruba. Otóż Grus wyładował u znajomego księdza na jakiejś plebanii. Trzy-

PODRÓŻ W NOCY

Czemu ten wagon tak się kołysze? Coś miarowo uderza w konstrukcję podwozia. Tory uginają się i prężą jak stalowe węże. A potem przychodzi myśl i fotografie z ilustracji o pociągach szynach przez trzęsienie ziemi.

To może nastąpić i tu, w tej chwili, ale czy przyjdzie? Pytanie pozostaje bez odpowiedzi, sprawia wrażenie lampy zawieszanej u sufitu, która każdej chwili może spaść i rozbić zblakane skrawki ciszy.

Cale istnienie grawituje wokół pojęcia: „na razie nic nie zagraża”. Jeśli natomiast potężny żywioł rodmucha te słowa na wietrze, to nie tylko rozkołysze wagon, ale ziemię również. Tory wygną się jak potężne drabiny i ułatwią ocalałym zdobycie przestworzy, a może wiecznego snu.

Wagon kołysze się (a może to już cała ziemia?) i za chwilę rozlegnie się głuchy szcęk metalu, jeśli lub westchnienia. To na pewno musi być przyjemne zajęcie dla zwykłego pasażerskiego pociągu w stronę o nazwie „Spokój”, a która naprawdę jest milczeniem umysłu. Boją się tego żywi — ale bardzo tego pragną.

Wagon — wciąż bezustannie kołysanie. Stukot na zamkniętych powiekach wykuwa płaskorzeźby tragicznych skojarzeń. W ustach smak ziemi — to przewalają się masy czarno-rudej gleby, kamieni i metalu. Wewnętrzny ruch siebie panikę, zmienia koryta rzek, wyrzyna nerwy ludzkiego istnienia. Bawi się nimi i masakruje.

Nie, tego jeszcze nie ma. Ale to może nastąpić choćby za chwilę.

W przedziale drzemią pasażerowie. Staruszek o twarzy z pergaminu kiwa się wsparty na łasce i chrapie. On na pewno jest najbliższym celu. Jego zmurszałe ciało ledwie przyzwala na ślimaczy bieg myśli. Obok niego chłopiec z wielką zapuszczością czupryną i rurą od piecyka na kolanach. Marzy.

dniowa libacja dobiegła końca, trzeba dostać się na dworzec, ale jak? Snieżyca ogromna, toteż proboszczem wypożyczył... baldachim z zaleceniem, by zostawił go w przechowalni na dworcu. „Rano się odbierze...”

POKONANIE ODLEGŁOŚCI nie zawsze należy do rzeczy łatwych.

Tadziek Hernes odwiedził kiedyś w Gnieźnie znajomego księdza X. Czas wreszcie jechać, bo na Hernesa czekają w rodzinnym Borzykowie. A więc z Gniezna do Wrześni. Ale pociąg rusza dopiero za parę godzin, a Hernesowi spieszyło się.

Osobisty urok Tadka Hernesa, powaga sutanny, a także i parę „głębszych” przy bufecie kolejowym, zrobiło jednak swoje. Znalazła się drezyna. Ksiądz też pojechał. Szkoda takiej gratki.

PEWNEGO DNIA postanowiliśmy razem z Hernesem napisać pieśń dziadowską o bołaczkach Poznania (kiedy ich nie brak?). Prezydentem miasta był wówczas Cyryl Ratajski. Napisałyśmy dla radia tę pieśń, którą obaj wybeczaliśmy przed mikrofonem poznańskiej rozgłośni. Każda zwrotka tej piosenki zabawnej „dziadówki” kończyła się wersem: „bo jeden jest Cyryl, a dwie metody...” Grus czekał na nas przed studio, bo właśnie był bez grosza, a przecież mieliśmy otrzymać honorarium od razu po audycji (tak wówczas płacono). Otrzymałyśmy...

Z Grusem spotykaliśmy się bardzo często w czasie okupacji w Warszawie, dokąd nas losy zaniósł. Kazio krył się pilnie przed Niemcami: jego antyhitlerowska satyra powodowała przecież w hitlerowskich Niemczech białą gorączkę.

Ale niezależnie od tego brykał po swym. O tym napiszę owszem — czemu nie?

T. H. NOWAK



Rys.: L. SUSICKI

Czy naprawdę? Przecież oczy nie zawsze mówią prawdę. Jakaś stara ciotka powiedziała, że są odbiciem ducha. Ha, ileż to uczucia bywa w oczach zbrodniarzy!

Tyle samo ile strachu. Spójrzcie na siebie. Na

swoje dolezione uśmiechy i strach, którego się wstydzicie. Spójrzcie na dogmaty, którymi handlujecie jak orzechami. Nie wiecie przecież czy są puste czy pełne, ale uznajecie je jako towar.

Chłopiec z rurą od piecyka ma jeszcze najdłuższą drogę. Przeżyć musi dzun-



Jedna z typowych lalek czeskich.

Fot. K. Przychodźki

Z MARCINKIEM W CZECHOSŁOWACJI

Poznański „Marcinek” dwukrotnie już gościł na swej scenie zagraniczne zespoły lalkowe: — przed rokiem teatr Karola Schrödera z Drezna, przed kilku tygodniami — Wojewódzki Teatr Lalek (Krajska Loutkova Scena) z Liberca. Artyści czechosłowaccy występowali w Polsce na zasadach wymiany, w ramach której z kolei do Pragi i Liberca udał się ostatnio na występy gościnne znany wagabunda Koziołek Matolek, zaś wraz z nim wznowiona inscenizacja sprzed kilku lat, „Ballady” Adama Mickiewicza, w inscenizacji J. Piekarskiej ze scenografią I. Pikiel i oprawą muzyczną F. Wasikowskiego.

Czechosłowacja posiada stałą, szeroko rozbudowaną tradycję sztuki lalkarskiej. Polska scena dziecięca poszczycić się może zdobyciem „Grand Prix” tegorocznego międzynarodowego festiwalu teatrów lalkowych w Bukareszcie — mam tu na myśli warszawski teatr „Lalka”. Świadomość obu tych faktów na pewno nie zmniejszyła tremy członków zespołu w drodze.

W Pradze przypadła Marcinkowi w udziale „Loutka”, szkolna scena lalkarska Akademii Sztuk Pięknych, która posiada Wydział Teatralny wraz z samodzielną katedrą lalkarstwa. Okoliczność ta zaważyła w rozmaity sposób na występie w stołicy CSR. Scena w „Loutce”, znacząco mniejsza i ciasniejsza niż w Poznaniu, utrudniła rozmieszczenie dekoracji i prowadzenie lalek, zmusiła do bardziej uciążliwych prób. Z drugiej jednak strony ta właśnie arena ściągająca na widownię wielki odsetek fachowców, między innymi młodzież lalkarską kilku narodowości, studiującą w Pradze.

Warto przy okazji podkreślić szczególne zainteresowanie Marcinkiem ze strony znających dobrze polskie lalkarstwo, czołowych przedstawicieli tej dziedziny sztuki w CSR, prof. dr. Jana Malika, dyrektora Centralnego Teatru Lalek, zharzem generalnego sekretarza Międzynarodowej Unii Lalkarskiej (UNIMA), której oficjalna siedziba mieści się w Pradze i kierownika katedry lalkarstwa w Akademii Sztuk Pięknych — prof. dr. Eryka Kolara.

Walny sukces odniosły „Przygody Koziołka Matolek” — dla tempa, temperamentu i barwności widowiska. Wśród opinii fachowców powtarzało się przekonanie, iż walor przedstawienia leży bardziej w inscenizacji niż w adaptacji tekstu Makuszyńskiego, która, jak wiele adaptacji, ujawnia pewne luki. „Koziołek” reprezentuje typ widowiska dziecięcego nieznanego szerzej w Czechosłowacji, przedstawienia, które przy wszystkich różnicach, stanowić może odpowiednik poszukiwań warto-

ści, gdzie napotka ludzi z dobrotliwym uśmiechem na twarzy. To są oprawcy, którzy odrą go z nabytych złudzeń.

Pędzący pociąg. Dookoła przenikliwa przestrzeń, lasy i pustkowia, czasem mia stęchło jak tlejący wzgórek popiołu. Nie tylko żywioł jednak może nas skierować na drogę zagłady, ale nieznaną ręką, która skradła się do jądra atomu by wydrzeć z niego siły i zerwać nimi życie na proch.

A potem na ziemię przylecą poczwary, mieszkający obcych planet i z uporem archeologów odkrywają, że na ziemi istniało niegdyś życie, a nawet — kierowało nim zorganizowane społeczeństwo. Będzie to ostatnia dra styczna ocena ludzkiej osiągnięć.

Nareszcie pociąg dojeżdża do stacji zasnutej mgłą beznadziei. Wiatr przylepia do mokrej szyby kawałek gazety, na której widnieje ogromny nagłówek: „Przeżyliśmy zagładę”. Pociąg stanął.

To znaczy, że coś się stało. Dlaczego?

Krzyk? Nie. Światło. To tylko konduktor prosi o bilety oślepiając pasażerów zielonkawym światłem karbidówki. Na pytanie starego diadka odpowiada: „Dojeżdżamy do Pszczela”.

Janusz SAUER

LESZEK PROROK

W pospektywnych dyskusjach do rangi przedstawiciela gatunku scenicznego. Uświadomiłem to sobie wyraźnie, gdy rozmawiając na ten temat z wybitnym polskim lalkarzem, prof. Kolarzem, równocześnie wpadliśmy na termin, który oddaje nieścisłość takiego właśnie gatunku; nazwalibyśmy „Koziołka” dziecięcym wodewilem lalkowym.

Specjalnej pochwały z ust prof. Malika doczekał się twórca tytułowej sylwetki w tej sztuce — Zbigniew Kaniewski, za animowa nie sześciu potrzebnych w tej roli lalek i za trudną, a sugestywną interpretację głosową.

W mniejszym stopniu przemówił do widowni, tym razem dorosłej, ballady Adama Mickiewicza: „Świeżanka” i „Lilie”, reprezentujące też określony i nie wszędzie praktykowany gatunek rapso-dyczny sceny lalkowej. Fachowcy docenili walor poetycki obu ballad, wiążąc go — słusznie zresztą — z dużą popularnością wszelkiego typu inscenizacji rapso-dycznych w Polsce. W rozumieniu odbiorców, inscenizowana poezja Mickiewicza zabrzmiiała, jako przejaw typowego zainteresowania polskiej sceny lalkowej. Warto wziąć tę opinię szerzej pod uwagę.

W obu inscenizacjach nie brakowało pewnych usterek, wynikających z trudnych warunków, nabytych po spiesznej próbie wznowienia „Ballady” czy po prostu zmęczenia intensywnym programem tournée. Wybaczone je chętnie dla śmiałości i pomysłowości inscenizacji.

(Dokończenie na str. 3)

Polacy przepędzali „lisa pustyni”

W dniu 10 grudnia mija 17 rocznica walk pod Tobrukiem, w której uczestniczyli również polscy żołnierze. Zamieszczamy relację świadka tych bitew.

Oto, jak wyglądała sytuacja na pustyniach Egiptu i Libii w okresie lata 1941 r.:

W czasie odwrotu sił sprzymierzonych z Cyrenajki (po załamaniu się ofensywy gen. Wavell'a) w kwietniu 1941 r. 9 dywizja australijska obsadziła twierdzę Tobruk i zorganizowała obronę. Mimo ataków nieprzyjaciela (niemiecki korpus pancerny Rommla oraz dywizje włoskie), Australijczycy utrzymali się w twierdzy, tracąc jedynie południowo-zachodni odcinek pozycji — wzgórze Medauar. Rommel nie czekał jednak na zdobycie Tobruku i ruszył z korpusem afrykańskim do dalszego pociągu za wycofującymi się wojskami sprzymierzonymi, osiągając w krótkim czasie granicę Egiptu. Tu jednak zmuszony był zatrzymać się z uwagi na wyczerpanie swych jednostek i trudności w zaopatrzeniu.

Tak więc 150 km za linią frontu pozostał przyczółek, który stanowił dla Rommla stałe zagrożenie. Bez zdobycia twierdzy Rommel nie mógł planować dalszej ofensywy. Ale również sprzymierzeni myśleli o ofensywie. Jednak jej przygotowanie wymagało czasu. Toteż obrońcy Tobruku musieli trwać jeszcze długie miesiące. Tymczasem 9 dywizja australijska była bardzo wyczerpana. Wówczas zapadła decyzja o przetransporcie do Tobruku polskiej Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich.



Z plastyki poznańskiej — „Kontemplacja” Anny Krzyżmańskiej (gips patynowany).

Brygada przebywała już przeszło rok na Bliskim Wschodzie, zaklimatyzowała się też w warunkach pustynnych i zaprawiała do walk na pozycjach pod Alexandrią. Przerzut brygady do Tobruku odbywał się oczywiście drogą morską i to w kolejnych rzutach.

Było to w sierpniu 1941 r. Eskadry okrętów wojennych docierały do Tobruku o północy i zatrzymywały się na rejdzie, gdyż sam port zapelniony był wrakami zatopionych okrętów. Postój trwał zaledwie dwie godziny. Okrety musiały szybko odpłynąć, aby jeszcze w nocy wypłynąć z zagrożonej strefy. Ładujące oddziały, przetransportowane na ląd na barkach motorowych. Wyładunek musiał odbywać się przy zachowaniu najdalszej idących środków ostrożności. Użyte światła — nawet palenie papierosów — było zabronione. Po wyładunku z barge grupy żołnierzy były wycofywane z obszaru portowego na pustynię, ze względu na częste ostrzeliwanie portu przez ciężką artylerię niemiecką oraz noce natarcia bombowców.

Po krótkotrwałym działaniu na odcinku południowym, Brygada objęła zachodni odcinek obrony. Wsparcie ogniowe zapewniała również artyleria polska.

Walki na odcinku zachodnim, zwłaszcza na tzw. „Wyłomie” (rejon wzgórza Medauar) — były wyjątkowo uciążliwe. Naprzeciw polskich pozycji znajdowały się wybojowe oddziały niemieckie, a na skrzydłach — dywizje włoskie.

Przedni skraj obrony znajdował się w niektórych punktach — w odległości zaledwie 100 m od stanowisk wroga. Toteż jakiegokolwiek ruchu w ciągu dnia był krwawo opłacany. Działalność patroli rozwijała się dopiero po zapadnięciu zmroku. Dostarczano wówczas żywność i amunicję, ewakuowano rannych, zmieniali się obserwatorzy artylerijscy. W ciągu dnia ruch na terenie twierdzy paraliżowały niemieckie myśliwce. Ze specjalną zaciętością „polowały” „Messerschmitty” na bezkoczowe (samochody-cysterny do przewożenia wody). Należy pamiętać, że walka toczyła się w klimacie afrykańskim, który gotkliwe dawał się we znaki. Wysoka temperatura oraz gorące hamsiny, często wiające w pustyni — oto przyczyny, dla których słodka woda była tak bardzo ceniona.

W czasie obrony przeprowadzane były przez Brygadę wypadki silnych patroli, wsparte ogniem artylerii. Ta ostatnia miała wyjątkowo dużo roboty. Sprzet, jaki otrzymaliśmy przy luzowaniu brytyjskiego pułku, uzupełniony został przez naszych artylerzystów działami włoskimi i angielskimi, porzuconymi na pustyni.

Wiadomość o zbliżającej się ofensywie brytyjskiej powitała z radością, zwłaszcza że miała współdziałać w niej również załoga Tobruku.

18 listopada 1941 r. ruszyła od granicy egipskiej 8 armia brytyjska. Wyprzedziła ona o 3 dni ofensywę niemiecką, która miała zlikwidować Tobruk. Rommel przewidywał zdobycie twierdzy silnym atakiem czołgów i lotnictwa. Jej załoga miała być wybita lub potopiona w morzu. Ofensywa sprzymierzonych pokrzyżowała jednak plany „lisa pustyni”.

W dniu 21 listopada wyruszyło z twierdzy natarcie oddziałów 70 dywizji angielskiej w kierunku El Duda, z zamiarem połączenia się z jednostkami...

*) — silny i gorący wiatr pustynny, który porывował drobne cząstki piasku, powodował niezwykle gwałtowną kurzawę. Widoczność w czasie trwania hamsiny ograniczała się do 2 m.

kami ofensywy, działającymi w rejonie Sidi Rezegh na południowy wschód od Tobruku. Działanie to poprzedzone zostało silnym wypadem Polaków na odcinku zachodnim, które miało zmylić nieprzyjaciela. Plan ten udał się, choć obrońcy przeżywali ciężkie chwile.

Zmienne były również losy dalszych walk; szala zwycięstwa przechylała się na jedną i drugą stronę. Najbardziej zaciekle walki toczyły się w rejonie Sidi Rezegh, prowadzone przy użyciu silnych formacji pancernych. Walki w terenie pustynnym, przy stałych możliwościach okrażenia i zaszkodzenia — stwarzały sytuację wyjątkowo groźną.

27 listopada udało się nacierać oddziałom 8 armii polacząc z wojskami z Tobruku. Siły faszystów zostały rozdzielone, ale Rommel ponowił ataki i uzyskał ponownie połączenie swych jednostek. Mimo trudnego położenia, dowódca twierdzy musiał za wszelką cenę utrzymać utworzony wyłom. W walkach tych brała również czynny udział polska artyleria, lekka i przeciwpancerna. Próby Rommla zlikwidowania korytarza — nie powiodły się.

W wyniku toczących się bitew, w dniu 8 grudnia, nastąpiło ostateczne połączenie oddziałów twierdzy, walczących w wyłomie — z 8 armią. W nocy z 9 na 10 grudnia ruszyło ostatnie natarcie Brygady Karpackiej na zachodnim odcinku. Oddziały nasze dotarły do rejonu Acroma, obsadziły szosę okrężną i zamknęły w ten sposób nieprzyjacielowi drogę odwrotu.

10 grudnia 1941 na wzgórzu Medauar powiewał sztandar biało-czerwony. Tobruk był wolny. Ośmiomiesięczne walki skończyły się. Zginęło w nich wielu żołnierzy polskich, którzy pozostali na zawsze na pustynnym cmentarzu Tobruku.

Nie nadszedł jednak dzień wypoczynku. Cofające się oddziały Rommla zorganizowały obronę na wysokości Gazali (ok. 75 km na zachód od Tobruku). W zwycięskiej bitwie o Gazalę brała również udział Brygada Karpacka, przysparzając chwały polskiemu orężowi. Akcja ta, choć miała charakter błyskawiczny, była krwawa i pochłonęła wiele ofiar. Jest to już jednak drugi rozdział w historii walk żołnierza polskiego w libijskiej pustyni.

Stefan DROUET



WSZYSTKO O... SATELITACH
W ostatniej „tele-zgaduli” duńskiej trzeba się było wykażać gruntowną znajomością zagadnień dotyczących satelitów ziemskich. Pierwszą nagrodę i 10 000 koron zdobył George Preisler (po lewej).
Fot. — CAF

Niedościgniony mistrz słowa

Napisać w kilku zdaniach o człowieku, który napisał ich chyba milion i który w literaturze rzymskiej a bodajże i świata stworzył epokę — jest rzeczą trudną i ryzykowną. Usprawiedliwia mnie jedynie myśl, że nie piszę dla specjalistów, którzy szczegółowych wiadomości i specyficznego naświetlenia szukają w książkach i czasopiśmie fachowych.

Człowiek współczesny staje się jakoś coraz mniej czuły na piękno mowy, szczególnie prozy. Słuchamy wprawdzie dużo różnych przemówień, zwłaszcza przez radio, ale interesuje nas w nich raczej treść, niż forma.

Dawniej było inaczej. Dopiero ten mówca, który potrafił sześcieliwie połączyć jedno z drugim, zdobywał prawdziwe uznanie. Takim właśnie był sławny mówca rzymski Marek Tulliusz Cyceero, którego dwutysięczne śmiertel obchodzimy 7 grudnia. Studia w kraju i za granicą (Grecja, Azja Mniejsza), wybitny talent krasomówczy, pracowitość oraz walory zewnętrzne takie, jak: głos i postawa, zrobiły z niego jednego z największych mówców świata, którego, jak mówi Konopnicka — „Rzym słuchał ugięwszy kolano”. 57 mów, jakie doszły do nas do naszych czasów, stanowią prawdziwe perełki łacińskiej prozy, którą my jednak znamy tylko jednostronnie, bo na piśmie.

Cyceero był nie tylko świetnym mówcą i adwokatem, lecz zarazem doskonałym teoretykiem mowy. Jeszcze dziś możemy z wielkim pożytkiem i zainteresowaniem przeczytać w jego pismach ciekawe wywody i szczegółowe wskazówki, jakich należy używać gestów podczas przemawiania, jaką stosować mimikę i intonację głosu, aby zdobyć życzliwość i poklask słuchaczy.

Wyższe wykształcenie służy — według ówczesnych wymagań i programów — przede

wszystkim w kierunku filozofii. Choć na tym polu Cyceero — jak w ogóle Rzymianie — nie był twórczy, przekazał nam jednak z tej dziedziny w 17 zachowanych pismach cenne myśli oryginalnej filozofii greckiej.

Cyceero nie był bynajmniej naukowcem oderwanym od życia. Przeciwnie — był to człowiek biorący bardzo aktywny udział w życiu politycznym. Większość jego mów miała bądź charakter polityczny, bądź to polityczne. W swej działalności politycznej i poglądach był republikaninem, w praktyce nieraz musiał stanąć po stronie „partii” senackiej. Jak często w polityce bywa, przeżywał Cyceero jako działacz polityczny chwile bohaterskiej chwały, kiedy np. po stiumieniu spisku Katyliny nadano mu zaszczytny przydomek ojca ojczyzny (pater patriae), jak i chwile klęski i upadku, kiedy konstytucja polityczna tak się ułożyła, że musiał pójść na wygnanie. I choć po kilkunastu miesiącach powrócił już nigdy nie odzyskał pierwotnego znaczenia politycznego. W wielkiej rozgrywce politycznej między Pompejuszem a Cezarem stał po stronie pierwszego. Zwycięski Cezar przebaczył mu. Nie uzyskał tego przebaczenia w czasie następnej rozgrywki, kiedy stając w obronie umierającej Rzeczypospolitej wypowiedział się w słownych „Fillipikach” wyraźnie przeciw Antoniuszowi. Dlatego też pada z rąk jego siepaczy, jako ofiara proskrypcji i ostatni obrońca wolności i Rzeczypospolitej, w dniu 7 grudnia 43 r. przed n. e.

Cycerona znamy nie tylko jako mówcę, literata, czy działacza politycznego, lecz również od strony czysto osobistych przeżyć a to dzięki bogatemu (przeszło 800) zbiorowi listów, które są dla nas tym cenniejsze, że Cyceero pisząc je, nie myślał o ich publikowaniu. Z tych listów poznajemy Cycerona przede wszystkim jako człowieka, z wszystkimi jego zaletami i wadami. Człowieka godnego uczczenia w dwutysięcznej jego śmierci. Mgr Jan HOROWSKI

MIEDZIANE NADZIEJE

(Dokończenie ze str. 1)
nie było kochanego „każdy w swoją stronę”.
Polska jest jedna, ją całą ożywiają miedziane nadzieje.

Obrona Głogowa

Walenty Nawrocki, sekretarz Prezydium Powiatowej Rady w Głogowie, w średnim wieku, o wyglądzie i sposobie mówienia wytrawnego pedagoga, wywodzi się, jak powiada, z metalowego fachu. Należy do tych, którzy z odcieniem specyficznej, na pewno uzasadnionej, dumy, zwykli mawiać: „Na Ziemiach Zachodnich jestem od 1945 roku...”

A od tego czasu dokonano w Głogowie ogromu pracy. Kto nie był w tym mieście, zdruzgotanym oblężeniem trwałym, „wiernych do końca”, tuż po wyzwoleniu, albo w rok potem, gdy miasto liczyło czterystu mieszkańców — ten nie oceni właściwie rozmiarów roboty. Brzegi Starej i właściwej Odry połączyły nowiutkie mosty. Rozległej siatki ulic nie przerywają już gruz. Jeszcze tylko stare miasto przypomina fragment warszawskiego getta. Pośrodku — zwaliste, potężne resztki trzech okazałych kościołów. U frontu jednego z nich na razie nieśmiało, zaczyna się pięć coraz wyżej rozległe rusztowanie.

— Teraz Głogów przekroczył 7 tysięcy mieszkańców. Dokładnie: siedem tysięcy — informuje sekretarz Nawrocki. W przyszłym roku przypada 850-ta rocznica obrony Głogowa

wa wiecie: 1109, Krzywousty... Plan perspektywiczny rozwoju miasta będzie gotowy z końcem marca. Plan ten na wspólnej sesji WRN, PRN i MRN, w sierpniu przyszłego roku, w 850 lat po historycznej obronie, uchwylimy uroczystie. Rozumiecie, jakie to będzie miało znaczenie dla ludności?

W ogóle plany dzwignięcia miasta są ambitne. Chce się odbudować ratusz, piastowski zamek (mam wątpliwości, czy już czas akurat na niego), szpital ortopedyczny, stawiać nowe bloki, sklepy (tych tutaj na lekarstwo...). A wszystko nabiera zupełnie realnych kształtów. Z powodu Tysiąclecia, a głównie — z powodu MIEDZI.

— Pomóżcie nam! Wspomnijcie w artykule, jeśli będziecie o nas pisali, że to w Głogowie właśnie można by zlokalizować kierownictwo prac i budów, związanych z eksploatacją złóż miedzi. Miasto liczyło kiedyś ponad 40 tysięcy mieszkańców, mamy uzbrojone tereny — doskonałe pod budowę. Nie brak jeszcze teraz murów, które można przy wznoszeniu nowych bloków mieszkalnych wykorzystywać. Stacja kolejowa jest wielka. Przyjmujemy inwestorów z otwartymi rękoma. Myślę, że skończyliśmy już definitywnie z staniem osiedli w szarym polu. Przed Głogowem otwiera się wielka szansa. Wskrzesimy do reszty to miasto teraz — albo nigdy.

Bronię Głogowa.
Piotr ŻYCKI

Z MARCINKIEM w Czechosłowacji

(Dokończenie ze str. 2)
nej oraz plastycznej, a także wery i polotu gry.

Największy sukces odniosła muzyka Franciszka Wasikowskiego. Zarówno stylizowana, neoromantyczna o dużym ładunku dramatycznej dynamiki ilustracja obu ballad, jak też kojarząca znakomicie potrzebę ruchu scenicznego z upodobaniami nowoczesnej kompozycji, oparta na synkopie i atonalności, ilustracja perypetii Koziołka, powracały we wszystkich chybła rozmowach w sprawie superlatyw.

Bezpośrednia konfrontacja techniki i sposobów pracy z kolega-

mi czechosłowackimi, odwiedzin katedry lalkarstwa (gdzie część zespołu miała możność zapoznać się z metodami szkolenia) — przekonały każdego z uczestników e-kipy o konieczności udoskonalenia techniki prowadzenia lalek w naszym teatrze, wprowadzenia usprawnień konstrukcyjnych, zwiększenia operatywności rozwiązań dekoracyjnych itp. W tym sensie wyjazd do CSR przyniesie naszym lalkarzom trwałe korzyści.

Trzydniowy pobyt w Libercu dostarczył okazji do ujawnienia jak gorące i żarliwe więzy przyjaźni zostały za-dziergnięte przed miesiącem w Poznaniu. W podejmowaniu

poznajskich lalkarzy towarzyszył dyrektorowi J. Filipi i artystom z Kraskiej Loutkowej Sceny nie tylko miejscowe władze lecz całe miasto. Temperatura widowni skoczyła tu od razu powyżej czerwonej kre-ski, co zgodnie z prawami teatru wywarło natychmiast skut-tek za sceniczną rampą. Przed stawienia w Libercu wypadły lepiej niż w Pradze.

Nawiązano wiele osobistych przyjaźni, które — wierzymy — będą piękne i trwałe. Na zakończenie pobytu energiczny gospodarz uprowadził zespół Marcinka w Góry Izerskie na pożegnalną zabawę.

Obecnie przed obu teatrami stoi otwarta droga, wypracowania nowych, owocnych form, tak pięknie rozpoczętej współpracy. Przykładowo wyliczyć tu można wymianę opracowań scenograficznych, muzycznych, konfrontację planów repertuarowych, za jakiś czas ponowną wymianę inscenizacji itp.

Młodościowi sceny lalkowej wypadła w zamknięciu pośpiesznych zapisków podróży, podzielić się głębokim przeświadczeniem, że podobne imprezy, jak te, które „Marcinek” ma za sobą, oraz dalsza współpraca z zaprzyjaźnionym teatrem innego narodu, największy dla nas walor mają w tym, iż znakomicie podwyższają godność i społeczną rangę lalkarstwa, których uznania ta urocz. kry-jaca w sobie, nie wyczerpane jeszcze możliwości, sztuka-wychowawczy bardzo potrzebuje.

Leszek PROROK

STUDIUM SCÉNA
AKADEMIE
MUSICKÝCH UMĚNÍ

PRÁHA II, VÁCLAVSKÉ NÁM. 28 - TEL. 22-64-24

ADAM WICHTORWICZ
BALADY

RODANÉ KAZDÝM DÍNEM
PŘÍHODY KOZLÍČKA MATOLKY

Fragment ajsza, zapowiadający występy „Marcinka”.

Oświecamy się rajcąc Wam nieco uwagi skromnym jubileuszem: „Nowy Świat”, który w tej chwili trzymacie w rękach, jest pięćdziesiątym z kolei. Oczywiście - nie oliczamy jego poprzednich wydań.

Z tej okazji chcemy poznać Was z kilkunastoma najwybitniejszymi naszymi współpracownikami. Oto oni:

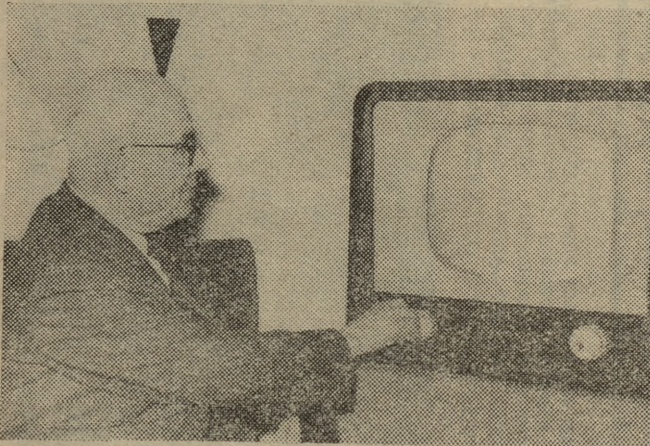
ANDRZEJ BAJKOWSKI

Młody i przystojny, ale już żonaty. Píše wszystko, ale najchętniej reportaże. Jest sympatyczny, ale trochę niesłowny — nie dostarcza np. obiecanych zdjęć. Dlatego drukujemy tylko tekst:

„Nowy Świat? Trzy prośby. Pierwsza, dyktowana względami nałogowej megalomanii: druk większy niż literami (spełniamy ją niniejszym: patrz nazwisko u góry — red.). Druga (względem natury osobistomaterialnej): większa objętość numeru. Wreszcie trzecia: nie powiem. Nie chcę się narażać...”



Ten sympatyczny starszy pan, którego widzicie przy redakcyjnym telewizorze — to Henryk Barański i Franciszek Hryniewicz w jednej osobie. Od zarania „Głosu” wierny jego towarzysz, dodatku także. Jego specjalnością jest historia i sprawy nauki.



„Czego Ci życzyć przemity „Nowy Świecie” powstały przed rokiem jak Feniks z popiołów dawnych „Światów”? Bądź żywy i różnorodny w treści, świetny w stylu i zmienny jak kameleon w układzie. Ucz, ale i baw zarazem, bądź wymagającym dla innych lecz również i dla siebie i wypełniaj szczęśliwie lukę tego rodzaju periodyku w prasie poznańskiej. Wybaczę Ci nawet ową poprzeczkę graficzną na ostatniej stronie...”

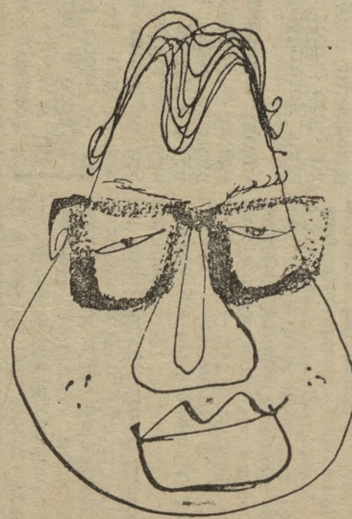
Z pozycji łagodnego tubylca

„Wieloletnia współpraca z „Nowym Światem” stawia mnie nie tyle w rzędzie konkwistadorów (ta rola zastrzeżona dla Czytelników!), ile raczej w pozycji któregoś z łagodnych tubylców. Na wszelki przypadek życzę Redakcji, by popularność dodatku uprawiała z okazji przyszłej setki — do zmiany tytułu na „Nowy, wspaniały świat”

LESZEK PROROK

— literat, krytyk, eseista, a także podróżnik (m. inn. był 4 razy w Czechosłowacji, skąd przesyłał piękne lalkę-pacynkę, którą możecie obejrzeć na stronie drugiej dzisiejszego „Świata”). Ostatnio flirtuje z XI Muzą — Telewizją.

(Redakcja)



W pracowni naukowca

Fizyk i humanista z wykształcenia i zainteresowań, profesor i wykładowca Politechniki Poznańskiej, na łamach „Świata” zajmuje się sprawami fizyki w szczególności, a rolą nauki w życiu człowieka — w ogóle. Wiecznie młody, a jednocześnie jeden z najstarszych (stażem) współpracowników naszego dodatku.

„Non scribit, cuius carmina nemo legit” — nie jest pisarzem ten, kto nie ma czytelników. Tak mawiał Marcejal. A „Nowy Świat” ma licznych i wiernych czytelników, i myślę, że to bardzo rzetelnie zasłużony komplement w dniu ukaźnia się pięćdziesiąt tego numeru.

K. KAPITAŃCZYK



Dalekopisem

od naszego korespondenta z Warszawy:

wszystkie nianki (nian,ki) synaczka ciesza się bardzo, ze nowy swiatek jest duzy i maja nadzieje, ze bedzie w dalszym ciągu i coraz lepiej sluchal, co w trawie piszczy, zbierał informacyjna smietanke i dzielil sie nią (nią,) z wujkami - czytelnikami i ciociami - czytelniczkami. pozdrowienia i sto lat

karol



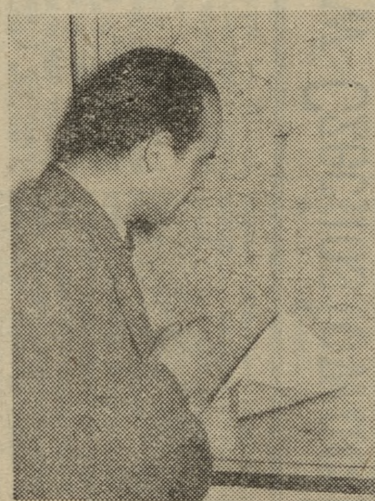
Czy czytam „Świat”? Hm... przede wszystkim oglądam. Szukam rysunków (oczywiście własnych!). Jeśli ich nie ma — oceniam numer bardzo surowo.

Jakie mam pretensje? Zdjęcia za mało! Nie krzywdźcie Czytelnika: Bardotka w Waszym wydaniu to tylko 1/2 Bardotki!”

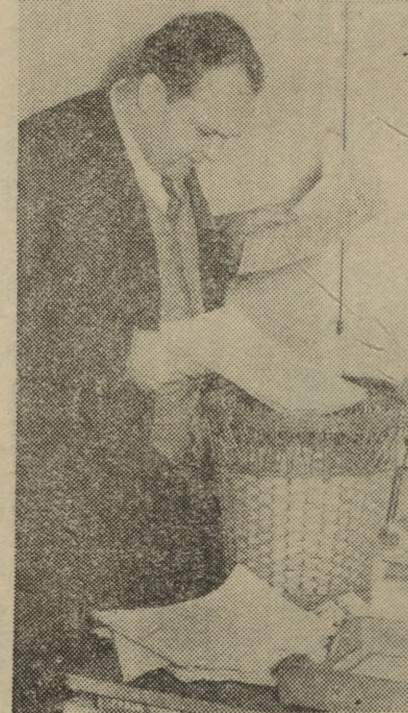


STANISŁAW MROWIŃSKI

— młody (wiecznie) plastyk, ozdoba graficzna „Nowego Świata” i „Kaktusa”. Ongiś nosił ponoć brodę. Obecnie goli się, co nie przyniosło żadnej ujemy jego urodzie. Przynajmniej w jego własnym mniemaniu (patrz — autoportret).



„Gdybym był czytelnikiem „Nowego Świata” (jestem także współautorem) domagałbym się od jego kierownictwa zamieszczenia samych ciekawostek naukowo-technicznych. Dlaczego? Bo mi się to najprzejawniej pisze. I czyta też. Gdybym był redaktorem „Świata” — drukowałbym stałe cykl „Pomarzyć warto” (o perspektywach nauki), bo te zagadnienia najbardziej mnie pasjonują. W związku z czym niektórzy koledzy uważają mnie za nieszkodliwego wariata, a ja sam siebie za... optymistę”.



GALERIA ŻYWYCH PORTRETÓW

„...już tylko 41 lat dzieli nas od 2000 roku. Trudno przewidzieć, co w tym roku pokaże nam NOWY ŚWIAT. Dlatego tworzę poezję piszę felietony i eseje, krytyki i „Galerię żywych portretów” właśnie w NOWYM ŚWIECIE. Utrwalam w nich świat obecny i szukam wciąż dróg do NOWEGO ŚWIATA...”

CZESŁAW KUBALIK

JESTEM OPTYMISTĄ!

— mówi o sobie Janusz Likowski, czołowy znawca cybernetyki, a także sekretarz redakcji „Głosu” — trudniący się — jak to widać na załączonym obrazku — wrzucaniem artykułów do kosza. Niektóre drukuje na łamach „Głosu”. Poza tym trudni się zasilaniem we własne materiały naszego dodatku. Niektóre z tych materiałów drukujemy.

Wedrówki po starym Poznaniu



Nasze rysownikowi udało się uchwycić swym piórkiem znanego Wam Wiktora Tulejszego w chwili, kiedy z rzeki zapomnienia wyławia wspomnienia o ludziach i sprawach starego Poznania.

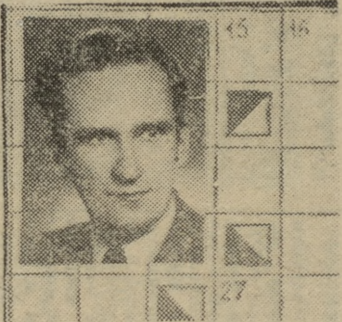


I jeszcze jeden autoportret, tym razem „nadwornego” grafika „Głosu”, bawiącego również często na „występach gościnnych” w „Świecie” — Ludomira Kapczyńskiego.

„Jestem rysownikiem — nie moją zatem rzeczą jest pisanie. Spróbujcie z wyrazu mojej twarzy na rysunku odgadnąć co myślę o „Nowym Świecie”.

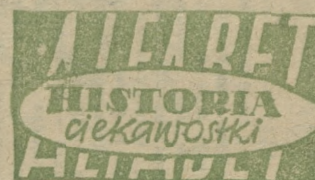
KRZYŻÓWKA

z fotografią autora



„Wdzięczny jestem za anielską cierpliwość, z jaką prze-mila Redakcja „Nowego Świata” broni mnie w rozmowach z czytelnikami, których żony, mężowie, dzieci i przyjaciele zadreżają pytaniami przy roz-ważywaniu moich krzyżówek”.

LESZEK RUDKOWSKI



— szukaj zawsze na ostatniej stronie „Świata”. Dawna nazwa tej strony: „Niedzielny Remanent”. O ile wiadomo, nazwa ta pochodzi od remanentu, czyli reszty stanu faktycznego. Słowo „niedzielny” oznacza coś, co nie da się dzielić, choć niektórzy twierdzą, że jest to oznaczenie dnia tygodnia, następującego po sobocie.

Na stronie tej mieszkać rzeczy różne. „Nowy Świat” — nazwa dość stara (poprzednio „Świat”), trafiamy na nią już w roku 1946. W pewnych latach zniknęła z mapy „Głosu”. Obecnie zelektryfikowana i „skaloryferowana” (słabo), licząca dwie dusze i kilkunastu stałych wy-robników.

JÓZEF PIEPRZYK — imię i nazwisko. Oznacza również autora tej rubryki. Pochodzi z „Głosu Wielkopolskiego” (dziennik), gdzie przede wszystkim trzyma tak zwana więź z terenem (patrz zdjęcie).